Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Prut pod Kamieniem Dobosza. Fot. J. W. Krauze. Łódź.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 43 (647). 24 PAŹDZIERNIKA 1931 R.

O DOKŁADNY ADRES.

SZ. P. PRENUMERATORÓW PROSIMY O DOKŁADNE PODAWANIE NAM ADRESÓW. ADRES MA ZAWIERAĆ: IMIĘ, NAZWISKO, MIEJSCOWOŚĆ, POCZTĘ I WOJEWÓDZTWO (POWIAT ZBYTECZNY).

PRENUMERATĘ WYSYŁAĆ NAJLEPIEJ NA KONTO CZEKOWE W P. K. O. NR. 80-82.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3.00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagroda na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana—25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego: zesz. 1 — 1,40 zł.; zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2.00 zł

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł., **2) „Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł., 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł., 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

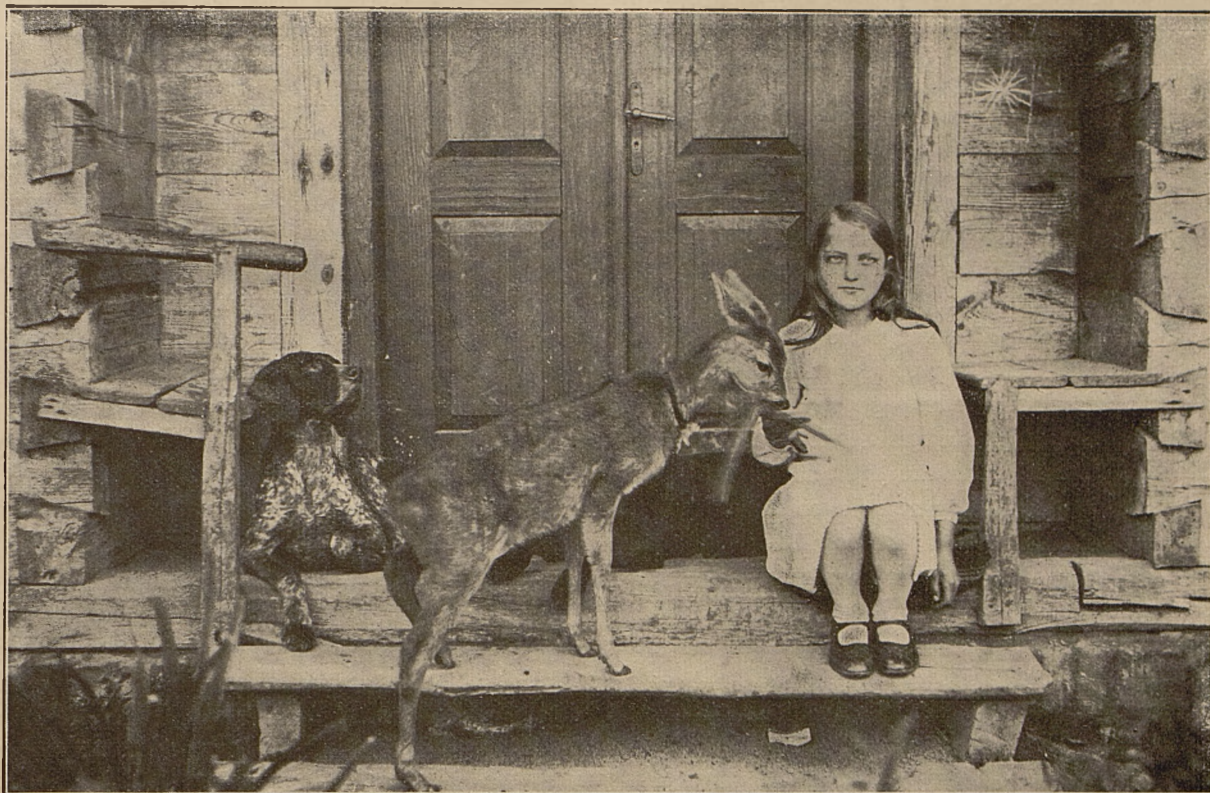
„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3,60 zł. **„Kruk"** — 4,50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.



„Przyjaciele". Fot. Jerzy Gałąska. Łask.

PRZED SEZONEM*).

Wieść, że polowanie w majątku N. już naznaczone, zaproszenia rozesłane, zelektryzowała wszystkich nemrodów powiatu, zwłaszcza tych, którzy z wyrobioną już maestrją umieją łączyć utile cum dulci. Dwór w N. znany jest nietylko w naszej okolicy z najlepszego zwierzostau, ale i z rzadko już dziś spotykanej, prawdziwej, staropolskiej gościnności. Sam gospodarz, dobry myśliwy i wzorowy hodowca, przyczem serdeczny, wesoły kompan, cieszył się zawsze ogólną sympatją, zwłaszcza piwniczka obfita, stół pełen frykasów o wyrobionej już sławie, no i potem pokerek, słowem wymarzona oaza na pustynnych w całej okolicy terenach łowieckich. Nic też dziwnego, że wszyscy zaproszeni jak jeden mąż stanęli do apelu, większość już nawet w przeddzień polowania stawiła się w gościnnym dworze, a po obfitej wieczerzy i libacji jedni zasiedli do kart, drudzy wysunęli się dyskretnie, korzystając z ogólnego zamieszania i podniesionej temperatury, do gościnnych apartamentów w objęcia Morfeusza, by zebrać siły do forsowania podoryw w kotłach na dzień następny. Tymczasem wrzawa i wesołe śpiewy rozbawionych gości nie ustawały przez całą noc, dopiero skoro podano apel do wstawania, człek z pewną ulgą szybko kończył swoją garderobę, by jaknajprędzej wyjść na powietrze. Niektórzy nie kładli się wcale spać, — twarze ich zmięte, blade, oczy czerwone, ale grunt animusz oraz resztki wigoru w kościach i marsz do sań, gdyż sam gospodarz już bezceremonjalnie teraz wyprasza wszystkich do wsiadania. Tuż za czworakami wypuszczają pierwszy kocioł. Rozwija się długi wąż w lewo i w prawo, i ciemne, ruchome sylwetki ludzi giną za linją pierwszego wzgórza. Słońce tymczasem ukazało się na horyzoncie nad siną wstęgą lasu; tam na prawo zaróżowiły się kontury niedalekiej olszyny, spowite u dołu jeszcze mgłą poranną, — niebo czyste, bez chmur, pogoda wymarzona, tylko z zachodu dmie lekki wiatr. Kilku stałych bywalców w tej okolicy konsultuje dyskretnie przyciszonym głosem, łowczego, który odprawiał kocioł w lewo:

„Panie drogi, czy to na prawo ta olszyna i bagno, skąd w zeszłym roku na dyrektora wyszły te dwa pamiętne lisy i tak ładnie zrulowały?". „Tak, moi panowie, że to jednak obecnie pełnia księżyca, dziś lisy będą w norach." Naszym nemrodom miny się nieco wydłużają, ale przesuwają się mimo to w prawo i biorąc kierunek na olszynkę, stają w ogonku, za nimi ustawia się reszta myśliwych, do których uszu także dotarły te magiczne słowa: bagno, olszynka, lisy etc. Dopiero na energiczną interwencję gospodarza udało się kilka fuzyj wymanewrować z ogonka i pchnąć w lewą stronę. Opodal w sankach siedzą jeszcze dygnitarze powiatowi, — ci nie śpieszą się z wy-

---

*) Obrazek z natury, jako ilustracja do art. p. Stefana Fijałkowskiego z „Łowca Polskiego" Nr. 2 i 3 z b. r. p. t. „Kocioł, pędzenie i pomyk".

siadaniem, bo i pocóż narażać swe cenne członki na zbyteczny wysiłek, lepiej i praktyczniej nawet iść na końcu, bo koty ruszone przy zamykaniu kotła, i tak im przyjdą wnet pod nogi bez niepotrzebnego ich zrywania na zmarzłych podorywach. Ktoś tam wprawdzie nieśmiało bąknął, że pod wiatr koty nie bardzo chętnie idą, ale mu zaraz odparował drugi: „Kochasiu, furda wiatr, co ma piernik do wiatraka, a widziałeś dziś kolanko — co? to grunt, jak nie widziałeś, to ci i wiatr nie pomoże — już ja się dobrze na dziś zaasekurowałem, zobaczycie — ten Stach ma w głowie zawsze jakieś wiatry, zresztą on i z żołądkiem coś tam tego — jak jednak wierzę tylko w kolanko". W tej chwili ostry wrzask kilku naganiaczy: pilnuj, zając, zając! zelektryzował całe towarzystwo i rzeczywiście w pobliżu ukazał się szarak, pierwszy harcownik, ale przywitany krzykiem, stulił uszy po sobie i w szalonych susach pomknął z powrotem do kotła po śmierć lub kalectwo, zanim myśliwi zdążyli załadować fuzje. Teraz odprawa w kocioł już szła coraz szybciej, już słychać strzały, zrazu pojedyncze, jakieś głuche, dalekie; już drugi i trzeci kot mignął w lewo i znikł za wzgórzem, gdy wtem daleki odgłos trąbki oznajmił wszystkim, że matnia zamknięta. A teraz: bij, kto w Boga wierzy. Myśliwi i naganiacze idą już koncentrycznie; strzały z początku rzadkie, padają coraz obficiej, większość myśliwych nie zważa zupełnie na metę, zapominając, że mają w rękach zwykłe śrutówki, a nie karabiny piechoty, i że pozatem obowiązują pewne kanony myśliwskie. Osiągamy wreszcie linję wzgórz, teraz można już okiem objąć cały kocioł i z konfiguracji jego poznać różne systemy specjalistów od tego rodzaju wyczynów strzeleckich, które może najmniej zasługują na nazwę myśliwskich. Linja naganiaczy i myśliwych przedstawia teraz luźną, rozrzuconą tyraljerę i grupki w różnych od siebie odstępach; koty jak szalone, mkną w śmiertelnym wyścigu na wszystkie strony. Tam jeden myśliwy jak wniebowzięty, ukląkł na śniegu i grzmi ustawicznie w oszalałe szaraki, ze słabym jednak wynikiem;inny bez ceremonji wyrywa w środek kotła, pozostawiając za sobą nagankę i chcąc przez to podnieść swoje szanse, koty jednak po pierwszych strzałach już go omijają zdaleka, — dalej znów inny fachowiec w porozumieniu z sąsiadem zatrzymuje w miejscu nagankę, gdy skrzydła już posunęły się naprzód, i obaj oczekują w tak wytworzonym worku na koty, salwujące się tu w panicznym strachu i walą jak z kulomiotów, z widocznym jednak skutkiem, bo już kilka sztuk znieruchomiało przed nimi, — jeden naganiacz tymczasem ruluje także, zrywa się jednak i ucieka,—śruty otarły się tylko o cholewy jego butów, na szczęście nie kalecząc. Teraz już istny szał ogarnął naganiaczy i myśliwych, co chwila słychać krzyki: nie puść! nie puść! Aż tu jeden kot wpada pod nogi kilku naganiaczom, którzy go w tej chwili przykrywają sobą, na nich wali się jeszcze kilku; parę chwil masa ta kotłuje się na śniegu, wreszcie kot wydobywa się nagle z pod nich i śmiga zdrów do lasu, ba, ale nie ze wszystkiem. Jeden z naganiaczy w podrapanej ręce trzyma z dumą, oberwany osmyk, inni ocierają twarze z potu i śniegu i klną na potęgę: „Choroba na niego, to szatan, nie zając, to musi ten sam, co go to Franek tamtej niedzieli z wnyka wyjmował i jak mu szmyrgnął zadniemi łapami w pysk, to chłopa aż zamroczyło, a ta jucha bęc w krze i tyla widział zająca". Po tym incydencie, z lewej strony mocno zestrzelany kot niepewnym już i chwiejnym krokiem uchodzi do kotła, — gratka zdobycia jednego punktu więcej, nielada, — chodzi przecież tylko o ten „ostatni strzał", a więc z nieprawdopodobnej odległości rozlega się podwójny, suchy trzask i wślad za nim posyła ów nemrod do kotła kilku chłopaków z naganki, przyrzekłszy im napiwek. Ci pędzą za nieszczęsnym delikwentem, zawracają go z powrotem i kijami wreszcie skracają głośno kniaziącemu, jego męki. Kocioł wreszcie zacieśnia się coraz bardziej, — jeszcze jeden kopyra, który mocno w kotlinie przywarł do tej pory, zrywa się, — pada kilkanaście strzałów, ten kulejąc, biegnie kilkadziesiąt kroków i przewraca się, w tej chwili z trzech stron padają nań jeszcze te tak zwane „ostatnie strzały", — na śniegu leży tymczasem nieruchoma, już żółta plama. Myśliwi tymczasem kłócą się o zaszczyt rzekomego dobicia ofiary. Jeden dowodzi szeroko, że strzały z jego fuzji na 150 kroków gwarantowane, a trafiały mu się na 200, drugi, że strzelał na bliską metę trzema zerami, trzeci, że jest bezwzględnie przekonany o trafności właśnie swego strzału, pod tym względem intuicja go nie myli, i nie przypuszcza, by ktoś śmiał o tem wątpić, przyczem jako ultima ratio rzuca groźne spojrzenia na współzawodników, na co powoli tamci wycofują się z niepewnej już teraz sytuacji, tryumfator zaś bierze w posiadanie zdobycz tak ciężko wypracowaną i oddaje do pilnowania naganiaczowi, a błogi uśmiech zadowolenia rozjaśnia jego, jeszcze przed chwilą srogie oblicze.

Naraz rozlega się sygnał: naganka do środka — myśliwi na miejscu.

Tym razem nie było więcej nic żywego w kotle, upiekło się więc może i niejednemu naganiaczowi, bo wprawdze teraz wolno strzelać jedynie poza siebie, ale zdarza się nieraz, że fuzje wtedy same strzelają do środka, a wiadomo: chłop strzela, a Bóg kule nosi.

Prowadzący kocioł odbiera teraz od naganki koty i notuje nazwiska myśliwych i podaną przez nich ilość zabitych sztuk. Musi on jednak znać dokładnie teorję błędów i rachunek wyrównania. Łatwiej może rozwiązaćby było problemat kwadratury koła, niż uzgodnić leżące pokotem sztuki z podanemi przez myśliwych liczbami. Leży bezapelacyjnie 20 sztuk, podanych 26, o zagrzebaniu kota w śniegu przez naganiacza w otwartem polu nie może być mowy. Łowczy, doświadczony myśliwy, uśmiecha się jednak dyskretnie i zwraca się do myśliwych z prośbą, by uzgodnili te cyfry między sobą raz jeszcze. Myśliwi się rozchodzą, widać tylko zdaleka żywą gestykulację rąk, głosy podniesione, tam znów żywa kłótnia, wreszcie schodzą się z powrotem. Łowczy jeszcze raz odczytuje listę, poprawia, sumuje i ogłasza, że brak tylko dwóch kotów, ale pociesza, że do końca to się wyrówna, szkoda czasu na dalsze, jałowe spory. Ożywionym opowiadaniom i złośliwym uwagom niema teraz końca.

— Jasiu, a jak tam z tem kolankiem było? Wiele masz? — pyta złośliwie, rumiany szatynek.

— Idź na zbity łeb z temi kolankami, mam jednego i dosyć, zresztą dziś na mrozie koty niebardzo przyjmują śruty — odpowiada pojednawczo zagadnięty.

— Ho, ho, takiś ty mądry — w kotle to wiadomo, koty z propelerami biegają, tu nie chcą kicać, ani słupka stawać jak w lesie — czekaj, tam się odbijesz! — atakuje dalej szatynek.

— Ale i z ciebie majster i fenomenalny łowca: dobił dwa cudze koty, jednego pełzaka, jednego leżącego już na grzbiecie i piszącego skokami ostatni testament, a tego trzeciego w kotlinie, którego ci na dziesięć kroków naganiacz pokazał, a któremu ze łba zrobiłeś pasztet, a to co, pies? — odcina się jadowcie zaatakowany, flegmatyczny Jaś.

— Jak zabił, tak zabił, ale grunt, że jest, ale ten twój jedynak to pewnie jeden z tych dwóch, których się nie można było doliczyć — odgryza się niczem nieskonfundowany szatynek.

Spór przerywa w tem miejscu gospodarz:

— Panowie, jazda na drugi zakład.

Stajemy na leśnej trybie według wylosowanych numerków. Przed nami sosnowy starodrzew o gęstem podszyciu leszczyny i świerka. Na niższych drzewach silna okiść — cały las w cudownej, białej szacie spowity jak na gody. Wszędzie pełno splątanych tropów, tak ponętnych dla oka myśliwego, z którymi związane są wszystkie jego nadzieje i przyszłe wzruszenia. W stłumionym jakimś szumie kniei wyczuwa się jej odwieczną pieśń, jakąś tajemniczą symfonję dźwięków, która zniewala wprost do skupienia się w sobie, do oddania czci tej olbrzymiej potędze przyrody. Cały ten nastrój uroczysty zakłóca jednak w tej chwili sąsiad mój z prawej strony, który wlazł w krzaki i z całą energją wyłamuje gałęzie, kryjące zazdrośnie przed okiem intruza miejskiego tajemnice leśnych jego mieszkańców. Sygnał trąbki, że naganka ruszyła, nie wzrusza go wcale, słychać daleko trzask łamania, — zdenerwowanie moje sięga już zenitu — wtem, o zgrozo, drugi sąsiad przysunął się do mnie na piętnaście kroków i przywarł nieruchomo do drzewa, — gdy go staram się wyparować z zajętego niewłaściwie stanowiska, odpowiada, że tam, gdzie go postawiono, był gąszcz beznadziejny i że na dwa kroki nic nie widać, a on przecież przyjechał do lasu nie po to, żeby się bezczynnie przysłuchiwać, jak inni strzelają.

Rzucam teraz okiem po linji i poza siebie, badając możliwości ewentualnego jeszcze strzału, — sytuacja staje się już beznadziejną. Myśliwi stoją w nieładzie na linji — jeden na środku, drugi zamiast stać pod ścianą pędzonego miotu, stoi po stronie przeciwnej—rówocześnie dochodzi mych uszu odgłos kłótni dwóch nemrodów, z których jeden również bezskutecznie stara się wyparować sąsiada, który zbyt blisko do niego się podsunął. Widzę, że obraz spodziewanego tu lisa pozostanie w tych warunkach dla mnie tylko jako pium desiderium, — skala mych nadziei obniża się jeszcze nieśmiało bodaj do kota. Naganke już słychać wyraźnie, coś w kniei porusza się powoli wśród gąszcza, rzucam okiem w lewo i tu spostrzegam, jak sąsiad mój wyczynia jakieś dziwne piruety, by dojrzeć to coś, co i ja przedtem spostrzegłem, lecz niestety, i nędzny szarak, gdyż on to tak niepewnie skradał się do linji, spostrzegł te jakieś niesamowite ruchy, bo tylko mignął w tył i tyle go widziałem, za chwilę zbliża się drugi, — przystanął, nastawił słuchy i bada sytuację, lecz niestety, nić jego rozważań przeciął w tej chwili mój niefortunny sąsiad, wyzyskując haniebnie tę chwilę kontemplacji szaraka i naszpikował go dokładnie śrutem. Lecz cóż się dzieje w tej chwili, — uszczęśliwiony nemrod wali z łomotem w gąszcz po swoją ofiarę,—usiłowałem go zatrzymać, wskazując na możność postrzelenia go przez kogoś i na to, że pozbawia sąsiadów swoich możności wogóle oglądania zwierzyny. Na to ten odpowiada flegmatycznie, w pełnej prostocie ducha: „Przecież muszę zabrać kota, powiedzą potem, że to nie ja go zastrzeliłem." Umilkłem, przerzuciłem fuzję po wyładowaniu przez ramię i czekałem końca tej maskarady już nietylko z niesmakiem, ale wprost z obrzydzeniem.

Z bólem wyrywają się gdzieś z głębi słowa: „o tempora, o mores!"

Tymczasem linja zaroiła się od ludzi, — naganka sprawnie bez hałasu idzie we wskazanym już zgóry kierunku, my czekamy na konie. Zbliża się łowczy, taki typ prawdziwie leśny, mina zadowolona, na ustach serdeczny uśmiech, pozbawiony wszelkiej sztuczności, — rad wszystkim, chciałby, by każdy z gości czuł się tu w kniei dobrze i opuścił to królestwo jego leśne z jaknajlepszyem wspomnieniem, jest



Powrót z wilczej obławy.

wyrozumiały na wszelkie słabostki ludzkie,—delikatnie niweluje niektóre spory między myśliwymi; kilku stojących na uboczu ze zgaszoną miną, którym widocznie los nie dopisał w tym miocie, pociesza, że na następny miot nikt się nie powinien skarżyć, tylko nie trzeba strzelać na niemożliwe odległości. Tu dowiadujemy się, że na jednego myśliwego skierował się lis, doszedł może na 150 kroków do linji i stanął, po namyśle jednak skręcił w bok i byłby wyszedł na drugie lub trzecie stanowisko, myśliwy jednak, na którego lis najpierw się skierował, widząc po ruchu tegoż, że lis ten dla niego stracony, wali na niemożliwy dystans z obu luf, rzecz jasna, że mykita wycofał się natychmiast z niebezpiecznej sytuacji i nikt z myśliwych nie widział go więcej.

W tych samych mniej więcej warunkach polowanie dobiegło końca. Goście rozjechali się potem do domów, a nastroje ich i humory były proporcjonalne do ilości kotów umieszczonych w sankach.

A teraz pewne refleksje mimowoli cisną się pod pióro. Mieliśmy dwa obrazki polowań w kotły i w kniei. Widzimy tu i tam zanik wszelkiej kultury

łowieckiej, zanik dobrych wogóle obyczajów, graniczący wprost ze zdziczeniem, i tego zła dalej tolerować nam nie wolno. Zajmowane stanowisko w pewnej hierarchji, czy to urzędowej, czy społecznej, czy też majątkowej i zjawienie się z fuzją na polowaniu nie uprawnia do żadnych przywilejów wśród bractwa św. Huberta, a tembardziej do ignorowania tych kardynalnych przepisów myśliwskich, które znamionują nietylko prawidłowego myśliwego, ale wogóle człowieka kulturalnego. Uważam, że przy tak mieszanem towarzystwie myśliwych i pseudomyśliwych gospodarze polowań lub łowczy powinni przed polowaniem odczytać zebranym regulamin tegoż, zawierający elementarne przykazania myśliwskie, i wezwać kategorycznie wszystkich do ścisłego ich przestrzegania, a następnie pilnie baczyć, by reguł tych nikt nie pozwalał sobie naruszać. Przypomnienie takie tembardziej jest wskazane, że większy procent gości tłumaczy się zwykle nieznajomością rzeczy; nic dziwnego, jeśli lekturę myśliwską uprawia znikomy procent myśliwych. Kulturę łowiecką, która w ogólnem, powojennem rozluźnieniu obyczajów chyli się również do upadku, trzeba przez uświadomienie w tym kierunku jednostki wszędzie propagować. Przez tolerowanie na polowaniach dzikich wybryków poszczególnych jednostek, stajemy się niejako współwinnymi zła; popierajmy wszędzie przy takich okolicznościowych zjazdach braci myśliwskiej prasę łowiecką, rozdając gościom wypełnione już czeki na P. K. O. — Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Złączmy się wszyscy w obronie dobrych obyczajów myśliwskich, prawdziwej kultury i etyki myśliwskiej.

Św. Hubertowi cześć!

M. P.

MISTRZOSTWO ŚWIATA.

Dokończenie. (Zob. Nr. 42).

Po przerwie jednodniowej, poświęconej treningowi, odbyły się zawody w strzelaniu podwójnem. Skład zespołu polskiego został zmieniony o tyle, że zamiast kpt. Rawicza na 5-go wszedł p. Tadeusz Barański, który, niestety, równocześnie strzelał w zespole rzutkowym, w którym miał dać przeszło 300 strzałów w przeciągu 3-ch dni. Uzbrojenie zespołu było następujące: Lewiński i Podoski: podwójny sztucer Savage kal. 22 H. P., z którego, na skutek niemożliwości dostania naboi, każdy z wymienionych wystrzelał 10 (słownie: dziesięć) strzałów przed zawodami. Sztucer ten, za lekki i naogół wadliwie zbudowany, miał między innemi tę przyjemną cechę, że po paru strzałach lufy rozgrzewały się do tego stopnia, iż powietrze falowało i pozornie poruszało całym celem. Por. Zaleski, po próbie tegoż sztucera bohatersko zrzekł się przyjemności strzelania z niego, i wstąpił w szranki z mauser'em, z którego musiał dać 2 strzały i zarepetować między strzałami w ciągu 4-ch sekund. Obaj pp. Barańscy strzelali z niezłego, podwójnego sztucera do naboi 6.5 × 58, sztucer ten posiadał zbyt małą szybkość początkową, gdyż zaledwie 650 m.

Szanse zespołu polskiego — z powodu braku treningu i wysoce nieodpowiedniej broni (przed zawodami prosiłem pewne osoby o wypożyczenie sztućców podwójnych — lecz niestety, spotkałem się z odmową — a chodziło o reprezentacyjny zespół Polski, do innej zaś broni, którą bardzo chętnie nam ofiarował p. Krasnopolski, nie było dostatecznej ilości amunicji), przedstawiały się napozór dosyć marnie, jednakże i tym razem, dobre usposobienie i zgranie całego zespołu, oraz fakt, że w jego skład wchodzili strzelcy mający ogromny trening w innych rodzajach strzelania kulowego i pewną praktykę myśliwską, mogły doprowadzić do zwycięstwa.

Niestety jednak, jeden ze strzelców zespołu nie spostrzegł się w porę, iż posługuje się amunicją o zwiększonej dawce prochu i lżejszym pocisku, i poświęcił znaczną część swojej 1-ej serji na wykonywanie dziur w powietrzu ponad grzbietem jelenia, przez co kompletnie utopił nasze szanse. P. Eustachy Barański — ów winowajca — zdobył sztucerowe naboje, których ładunek prochu wynosił nie 1,60 grama lecz 1,85 gr.; nie wypróbował broni w dniu poprzedzającym zawody, i skutkiem tego w pierwszej serji z 10 dubletów, na możliwych 100 punktów, uzyskał punktów 25. W przerwie między 1-ą a drugą serją porwaliśmy ów sztucer do rusznikarni, celownik został spiłowany przez uczynnych majstrów z fabryki broni w Radomiu w rekordowym czasie, przystrzelaliśmy go w jakimś pustym kącie strzelnicy, i p. Barański— w drugiej serji, ratował siebie i zespół jak tylko mógł, i osiągnął niezły wynik: 59 punktów na 100. Oczywiście, i w tym wypadku można było liczyć na to, że jego wyniki zaliczy się jako najgorsze, a miejsce w zespole zajmie p. Tadeusz Barański, jednakże ten ostatni był niestety, zbyt przemęczony strzelaniem do krążków i osiągnął wyniki niezłe, lecz niewystarczające.

Sumy obu zespołów wyglądały następująco:

N O R W E G J A :

Bergersen	56 — 64.	razem	120	punk.	(sztucer podwójny)
Olsen	58 — 58.	„	144	„	(repetjer)
Notwig	57 — 58.	„	115	„	(sztucer podwójny)
Aasnes	56 — 56.	„	112	„	(repetjer)
Stenersen	54 — 55.	„	109	„	(repetjer) odpada

P O L S K A :

Podoski	56 — 62.	„	118	„	(sztucer podwójny)
Lewiński	53 — 63.	„	116	„	„ „
Zaleski	59 — 56.	„	115	„	(repetjer)
Barański T.	53 — 50.	„	103	„	(sztucer podwójny)
Barański E.	25 — 59.	„	84	„	„ „ odpada

Do Mistrzostwa Świata zabrakło nam więc 11 punktów, trzej zaś nasi najlepsi strzelcy mieli wyniki w przeciętnej o 1 punkt niższy od przeciętnej norwegów.

Tym razem fenomenem dnia stał się major Boles. Zdołał on, osiągając 152 punkty na możliwych 250

przy repetowaniu ze springfield'a, pokonać wszystkich strzelców uzbrojonych w podwójne sztucery i zdobyć bezapelacyjnie i „bezprotestowo" drugie Mistrzostwo Świata w strzelaniu myśliwskiem. Manifestacja, którą wszyscy zawodnicy tym razem bez różnic obozów i przekonań, urządzili mu zaraz po zwycięstwie oraz przy rozdaniu nagród, była wprost imponującą.



Mjr. John Boles Mistrz Świata w strzelaniu do jelenia.

Z powyższych zawodów wypływa dla nas szereg cennych i ciekawych wniosków. Streścimy je następująco:

— Do strzelań myśliwskich, tak samo dla rzutków jak i dla broni kulowej rozporządzamy strzelcami, którzy mogą śmiało kandydować o Mistrzostwo Świata.Za następnym razem trzeba będzie tylko większą uwagę przywiązać do dania im możności dłuższego treningu i do umożliwienia ich zaopatrzenia w broń rzeczywiście odpowiednią.

— Broń do strzelań pojedynczych jest tania i łatwa do nabycia. Sztucer typu „norweskiego" zamówiłem w czasie zawodów u wytwórcy tych broni, p. Larsen'a w Danji; jeszcze go nie otrzymałem; cena jego będzie wynosiła około 400 zł. Strzelać on będzie amunicją wojskową, która przy użyciu przeziernika Lyman'a i systemu celowania majora Boles'a, pozwoli na osiągnięcie doskonałych wyników, a jest przytem tania i łatwa do nabycia w kraju.

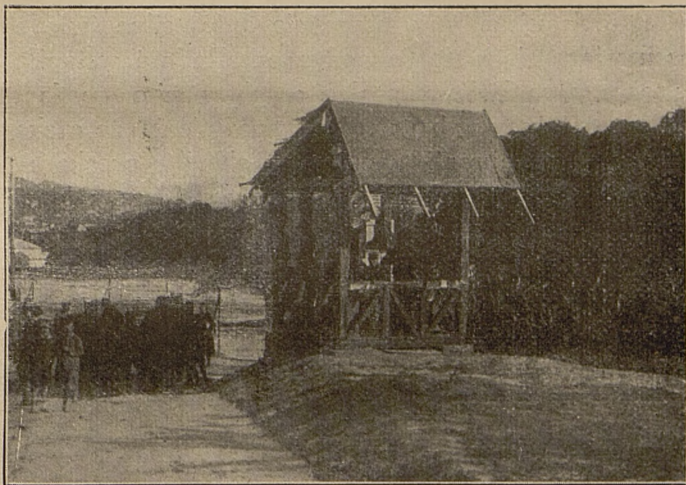
— Gorzej się sprawa przedstawia z dubletami, gdyż dobre, podwójne sztucery są ogromnie kosztowne, ponadto nie można ich zbudować do naszej amunicji krajowej, która jest bez kryzy (rantu). O ile następny zespół będzie mógł być poważnie wyekwipowany, trzeba będzie wypróbować automatów kulowych Browning'a kal. 9 mm, jest to broń wysoce obrzydliwa na wygląd ale celna, ciężka, po dopasowaniu przeziernika i odpowiedniej muszki, może być zupełnie dobrą.

— Wiecej wiary we własne siły, gdyż przekonaliśmy się dobitnie, że w tym typie strzelań możemy zwyciężać.

— Więcej staranności, więcej poczucia powagi i zaszczytu reprezentowania Polski w zespole sportowym, więcej ścisłego, technicznego przygotowania siebie i broni — dla niektórych naszych strzelców.

Sądzę, że będę jedynie rzecznikiem ogółu zawodników, jeżeli w tem miejscu wyrażę najserdeczniejsze podziękowanie tak samo p. inżynierowi Ebenbergerowi, wiecznie rozrywanemu między strzelnicą rzutkową a jelenią, załatwiającemu wszystkie sprawy naraz i każdą pojedynczo w biurze, w polu, w samochodzie i na piechotę, i zawsze gotowemu do podjęcia wszelkich, potrzebnych starań i uregulowania każdej kwestji spornej, jaka tylko się nasunęła, — oraz i przedewszystkiem tym członkom Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, którzy z takiem poświęceniem sędziowali przez czas zawodów.

Ci ostatni panowie — ludzie starsi i mający napewno inne zajęcia i upodobania, potrafili sterczeć z pełnem poświęceniem przez 12 godzin dziennie na stanowisku, ogłuszeni hukiem sztucerów, ciągle porozumiewający się z cudzoziemcami, źle mówiącymi niemieckim czy francuskim, rozstrzygający nieustanne nieporozumienia, wydający zarządzenia telefoniczne, pilnujący mylących się pisarzy i t. d. i t. d., — wykonali rzeczywiście wielką i ofiarną pracę. Przez cały czas strzelań nadali swojemu urzędowaniu cechy spokoju, stanowczości i wielkiej powagi, dzięki czemu funkcjonowanie strzelnic miało charakter jaknajbardziej dodatni.

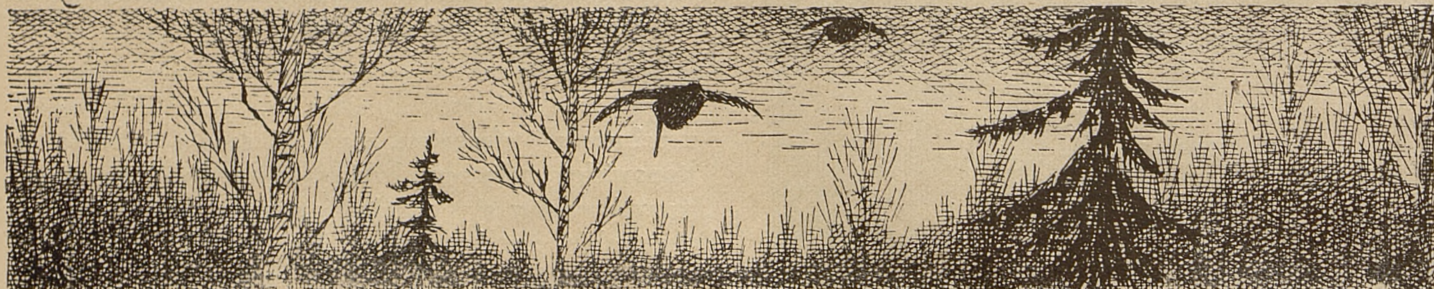


Strzelnica kulowa na Międzynarodowych Zawodach we Lwowie.

Na zakończenie — trochę gorzkich żalów. Gdzie byli sławni strzelcy kniejowi Małopolski, gdzie byli ci mistrze, co od wielu lat na strzelaniach premjowych bezapelacyjnie zajmują wszystkie pierwsze miejsca, a słyną z niechybnych dubletów i tripletów w drągowinie, na wązkiej linji, w czasie miotów dziczych? Czyż doprawdy ich sytuacja — ciężkie jest zapewne położenie rolnika w czasach dzisiejszych — była tak trudną, iż nie mogli sobie pozwolić na tych paręset naboi dla treningu i na koszt paro-dniowego pobytu we Lwowie? Czyż zespół, który mieliśmy zaszczyt wysunąć na I-e miejsce na świecie, nie byłby jeszcze lepiej reprezentowany, gdyby oni byli jego członkami, a nie my, wojskowi, których zajęcia nie umożliwiają odpowiedniej praktyki? Czy w strzelaniu w dubletach wyniki zespołu przez nich stworzonego, nie byłyby o wiele wyższe? Czy nie zachodzi tutaj wypadek apatji, obojętności i lekceważenia, czy nie wpłynęły tu może nawet takie względy, które chyba

mogły pójść w kąt ze względu na powagę reprezentowania sportu strzeleckiego i łowiectwa polskiego wobec świata? Tych strzelców nie widzieliśmy ani na staowisku, ani nawet na ławach widzów, które były stale zapełnione cudzoziemcami lub polskimi zawodnikami. Owszem, zauważyliśmy na tych ławach paru weteranów polskiego łowiectwa, mających za sobą najchlubniejsze karty zapisane w kniei i na strzelnicy; panowie ci nie odstępowali na chwilę od stanowiska i szczerze cieszyli się każdym strzałem, służyli radą, pomocą i stanowili to, tak ważne, moralne poparcie, jakiego potrzebuje zawodnik w ciężkich chwilach natężenia nerwowego wielkich zawodów. Ale panów tych było dwóch zaledwie... A gdzież była reszta?

J. PODOSKI.



SŁONKI.

(Zob. Nr. 42).

Cisza grobowa zalegała dokoła, a głos nasz ginął stłumiony w mgle. Naraz jednak w pewnej odległości ujrzeliśmy wyraźnie dość silne światło posuwające się wolno przed nami. Radość wstąpiła w nasze serca. Byliśmy ocaleni i wybawieni od spędzenia długiej nocy w bagnie. Na wspomnienie, że czeka na nas w restauracji zamówiony obiad z przekąską z kawioru, z zupą rakową, faszerowanym szczupakiem i omletem z groszkiem, ślinka do ust nam nabiegła, a głodny żołądek zaburczał z radości. — „My tu, panie Icek" — zawołał radośnie mój towarzysz. Na jego wołanie nie było jednak odpowiedzi. Światło zaś nagle zgasło, a na pobliskiem drzewie odezwał się przeraźliwy śmiech leśnej sowy. Nie byłem zabobonnym i w żadne duchy nie wierzyłem, lecz w tem niezwykłem zdarzeniu przeszło mi mrowiem po plecach i zrobiło się w duszy nieswojo. Szczególniej to wołanie na szynkarza, na które nie było odpowiedzi, ta rozmowa mego towarzysza z niewidzialnym, działała na nerwy deprymująco.

Po chwili znów ujrzeliśmy dość silne światło, lecz w innej stronie, i to również szybko zagasło, ale nie próbowaliśmy już rozmowy z osobą, która go niosła. Zrozumieliśmy, że są to błędne ogniki, które w tych stronach często świecą w tej porze. Chociaż człowiek wie dokładnie, skąd te ognie powstają, dlaczego świecą i poruszają się w różnych kierunkach, to jednak przez atawistyczne jakieś wierzenia, ukryte w głębi duszy, pojawienie się tego zjawiska wśród podobnych okoliczności, działa zawsze niesamowicie na nerwy. Ludność wiejska wierzyła święcie, że to djabeł suszy przy tym ogniu pieniądze, lub że nim wabi zbłąkanych, by zaprowadzić ich na bagna i potopić w bezdniach. — Wspomnę tu nawiasem, że miałem raz na Podolu sposobność ujrzeć w zimie, jadąc saniami, słup ognia przed końmi, tak wielki, jak zapalony wiecheć słomy. Ogień ten posuwał się przedemną na jakie sto kroków i zgasł raptem. Furman widział go również i żegnał się wciąż wystraszony. Było to na czystym stepie w ciemną noc zimową.

Markotni i przygnębieni, zziębnięci i głodni, staliśmy bezradni wśród ciemnej nocy pośród złowrogich i zdradliwych moczarów.

O wyjściu z nich nocą zgasła wszelka nadzieja. Pierwszą myślą moją w tej przykrej sytuacji było rozpalić ognisko, ogrzać, osuszyć odzież, obuwie i rozprószyć tę grobową, przygniatającą ciemność.

W rozpalaniu watry byłem mistrzem i z byle czego potrafiłem rozniecić nawet w czas słotny w lesie, sute ognisko. Na szczęście nasze, miałem, jak zwykle, w torbie łojową świecę, powszechną wtedy w użyciu, która służyła mi do smarowania obdartych nóg, do otłuszczania luf przed rdzą, no i wreszcie, w razie potrzeby, do świecenia. Zaświeciwszy świecę, przeszedłem ostrożnie najbliższy teren, aby znaleźć stosowne miejsce na ognisko i nocleg. Uszedłszy kilka kroków, napotkałem olbrzymi kloc jodłowy z obalonego burzą, drzewa. Kloc nie był jeszcze spróchniały i zgniły, więc postanowiłem przy nim bezpośrednio zapalić ognisko, aby płomień objął i zatlił przewalone drzewo. Gdy rozgorzeje taki olbrzym, będzie się tlił i żarzył przez całą noc i nie trzeba wtedy dokładać wciąż drew do ognia. Taki tlejący kloc daje tyle ciepła, że nawet w najtęższe mrozy można spać przy nim całą noc. Z pomocą wyciętej myśliwskim nożem, kluczki, obłamywaliśmy suche gałęzie jodłowe i układaliśmy z nich stos przy zwalonej jodle. Gdy stos był dość już pokaźny, podpaliłem go z pomocą nazbieranej nożem żywicy z pni jodłowych. Wkrótce zapłonął żywy ogień i rozproszył dokoła, ponurą ciemność, rozweselając nasze oblicza. Teraz, gdy dokoła zajaśniało, zbieraliśmy żywo złomy i gałęzie i co tylka dało się wyrwać lub złamać, szło na ognisko. Ognisko rozłożyłem wzdłuż kloca na parę metrów długości, aby odrazu na tej przestrzeni kloc się zapalił i dał nam możność ułożenia legowisk na nocleg wzdłuż żarzącego się

drzewa. Gałęzi jodłowych, które zwisały do samej ziemi, nacięliśmy tyle, że mogliśmy ułożyć z tego dwa materace w oddaleniu od kloca, i na nich, jak na sprężynowych, przespać noc w miłem cieple. Ponieważ nie było wiatru, ciepło równomiernie rozchodziło się od żaru i w dwumetrowej odległości od kloca można było spać, jak w ogrzanym pokoju. Po tych wszystkich przygotowaniach, które zajęły nam dobrą godzinę wytężonej pracy, głód zaczął nam dokuczać i żołądek upomniał się o napełnienie. Torby nasze były zupełnie puste, a tylko pozostało trochę soli, którą wzięliśmy rano do jaj. Tą trudno się pożywić. Przyszło mi na myśl, że można przecież upiec parę słonek i te z pewnością będą nam smakować. Zaproponowałem tę myśl towarzyszowi, lecz ten nie miał pojęcia, jak się wziąć do rzeczy, i jak można piec słonki bez kuchni i naczyń odpowiednich. Powiedziałem na to, że niech tylko oskubie ptaki, a wszystko potrzebne znajdzie się potem. Podczas gdy towarzysz skubał z zapałem ptaki, wyszukałem w pobliżu dwie widlaste gałęzie i z tych porobiłem myśliwskim nożem oparcie do rożna. Rożen zastąpił zupełnie dobrze pręt leszczynowy, gładko obstrugany i ostro zakończony. Wbiłem widełki po obu stronach nagarniętej kupy żarzących się węgli i kuchnia była gotowa. Oczyściwszy starannie ptaki z pierza, wsadziłem je ostrożnie na drewniany rożen, nie patrosząc wcale, a to dlatego, że łatwiej upiec niepatroszone, a powtóre, że z patroszeniem ptaków po nocy bez stołu i potrzebnej do spłukania wody, wielki był ambaras. Nam głównie chodziło o to, by mięso na piersiach upiekło się należycie, o resztę troszczyć się nie było potrzeby.

Obracając wolno rożen na zmianę i dosypując świeżego żaru z ogniska, po dobrej godzinie mieliśmy upieczone słonki.

W manierkach pozostało trochę „Szabasówki". Po niej, pieczyste, chociaż bez chleba, posypane solą, smakowało wyśmienicie. Nie naruszając wnętrzności, okrajaliśmy mięso z piersi, pozostawiając resztę dla psów, lecz te, choć były bardzo zgłodzone, jako dobre legawce, pieczonych ptaków nie tknęły.

Zadowoleni i syci w ciepłych i dość wygodnych łożach, mając pod głowami jako poduszki, puste torby myśliwskie, wypchane gałązkami jedliny, paląc papierosy, gwarzyliśmy wesoło, opowiadając wzajemne przygody. Nie żałowaliśmy teraz, ani czekającego na nas obiadu w restauracji, ani wygodnych łóżek w mieszkaniu. Było nam tu przyjemnie i miło. Psy zmęczone, legły u naszych nóg i spały, mrucząc lub skomląc od czasu do czasu przez sen, z głodu.

Głęboką ciszę nocną w tym bagnistym ostępie, przerywał trzask tlejącej i żarzącej się kłody, która to pokrywała się bielą popiołu, to znów świeciła jasnym żarem, wydającym zielone płomyki palących się gazów. Czasem następował silny trzask i snop iskier wznosił się w powietrze. Gdzieś daleko słychać było ponure uhu-hu-hu puhacza, tego nocnego rabusia i gnębiciela uśpionych ptaków i wychodzących na nocny żer, zajęcy. Po północy zmorzył nas sen i usnęliśmy, marząc o przebytej przygodzie, w której cudem uniknęliśmy potopienia się w trzęsawisku lub przeziębienia i choroby. Nad ranem, jeszcze we śnie doszły mych uszów jakieś żałosne kwilenia, niby płacz małego dziecięcia, któremu dzieje się jakaś przykrość. Nie byłbym się może obudził, gdybym prócz kwilenia, nie usłyszał również we śnie, warczenia psów leżących przy naszych nogach. Usiadłem obudzony na posłaniu i w tej chwili zrozumiałem, że rozdzierający płacz i wrzaski wydaje zając, który może wpadł do zastawionych nań sideł lub może pochwyciła go kuna i nie może pokonać. Lis bowiem, gdyby to on był sprawcą, prędko uporałby się z szarakiem i nie dał mu wiele czasu na płacze i krzyki. Pobudzone tym harmidrem psy warczały i trzęsły się jak w febrze, z niecierpliwością czekając na mój rozkaz ruszenia do ataku. — Dałem go zaraz — skoczyły, jak wyrzucone z procy i pobiegły w las. Byłem ciekaw, czy znajdą przejście, którego myśmy nie mogli znaleźć dla odwrotu z tej matni, do jakiej wleźliśmy po nocy. Psy odrazu znalazły przejście. Płacz duszonego szaraka ucichł, natomiast posłyszałem syk i kłapanie. Poznałem teraz, kto był sprawcą nocnego napadu. To zirytowany na psy puhacz, z powodu odebrania mu zdobyczy, syczał głośno, jak podrażniona żmija, i kłapał



Z rykowiska. Fot. inż. dr. J Szuman.

zawzięcie dziobem. Nic mu to jednak nie pomogło, zająca psy taszczyły z radością i triumfem do ogniska. Wreszcie obudził się i towarzysz i był niepomiernie zdziwiony, widząc, że trzymam kota w ręku, a psy skaczą i naszczekują. Objaśniłem go, co podczas jego twardego snu zaszło. Mówił mi, że również słyszał przez sen płacz dziecka i sądził, że to płacze dziecko sąsiadów, za ścianą w jego pokoju. Przód i podroby z zająca dostały psy, ku wielkiej ich radości i zadowoleniu. Cąmber w skórze z tylnymi skokami poszedł do siatki przy myśliwskiej torbie. Blask porannej zorzy przebijał się z trudem przez gęste opary, snujące się nad bagniskiem. Dzień jednak zapowiadał się pogodny, bo mgła mżyła, jak przez gęste sito, opadając na ziemię. Dołożyliśmy jeszcze gałęzi do tlejącego wciąż kloca i ożywczy ogień buchnął wesoło. Prostując swe członki, po twardym śnie na sprężynowych lecz również twardych, jodłowych materacach, czekaliśmy z niecierpliwością, kiedy ranne słońce rozjaśni mroki w ponurym lesie i pozwoli nam wydostać się przy świetle dziennem z bagna. Słońce niebawem wzeszło, a choć go nie było widać, bo zakrywał je las i gąszcze, to jednak czuć było, że świat budzi się do życia i ruchu. Odezwało się kwilenie krążących nad lasem, kań i orłów, a drobne, leśne ptaszęta cicho

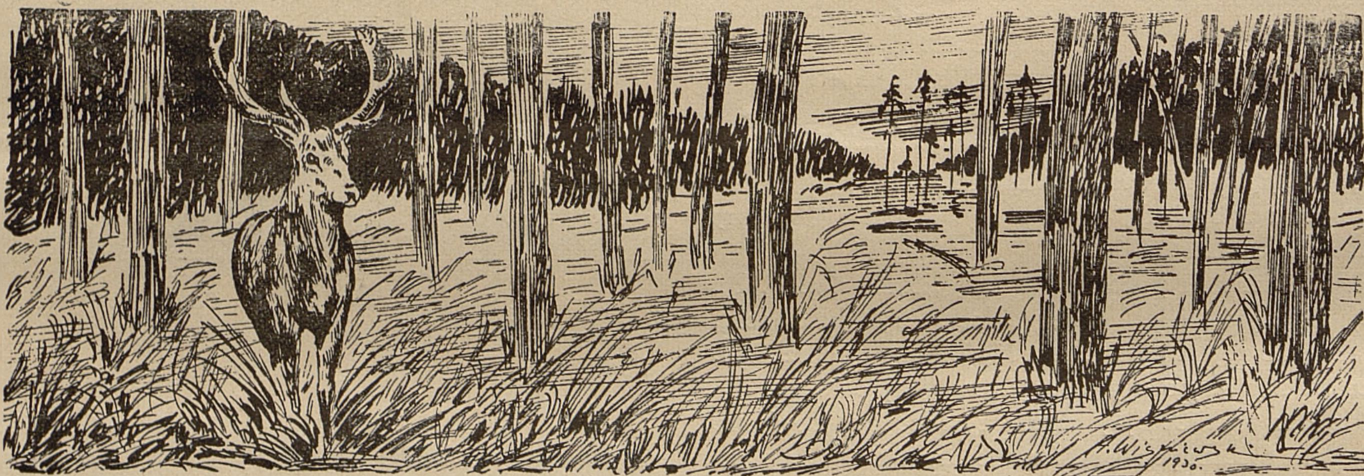
ćwirkały, gwarząc w gąszczach. Być może, opowiadały sobie o trwodze, jakiej tej nocy doznały z powodu mordu, dokonanego na biednym szaraku przez puhacza. Z jeziorek dymiło, jak z kotłów czarownic, gotujących djabelską strawę na Łysej Górze. Wkrótce zrobiło się tak jasno, że mogliśmy śmiało szukać wyjścia z bagna. Widząc w nocy, w którym kierunku ruszyły psy do duszonego przez puhacza, zająca, udałem się również z towarzyszem w tamtą stronę i po chwili znalazłem ślady ciągnionego przez psy szaraka. Doszliśmy po nich do rodzaju mostka lub kładki, utworzonej przez nawpół zgniły pień, wywróconego przez burzę drzewa. Pień ten łączył wysepkę na bagnistem jeziorze z suchym lądem. Po tej zarośniętej zielskiem i niewidocznej w nocy kładce, zaszliśmy na tę wyspę, z której po nocy nie mogliśmy się wydostać. Było to dla nas jednak zbawiennem, bo gdybyśmy w nocy dalej błądzili w bagnie, kto wie, jaki byłby koniec.

Przysłowie dość niemądre: „Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło", okazało się w tym wypadku trafnem. Mając punkt orjentacyjny we wschodzącem słońcu, mogliśmy, idąc wciąż w jedną stronę, dojść w końcu do szosy, a tą do karczmy. Przeszło jednak godzinę trwała uciążliwa przeprawa przez bagna. Musieliśmy kilka razy zboczyć z obranego kierunku, obchodząc wodne topiele i mijając grzązawiska i wertepy. Nareszcie zmęczeni ciężarem dźwiganej zwierzyny i chodzeniem po wertepach i gąszczach, dobiliśmy do suchego lądu i doszliśmy do szosy. Tu dopiero okazało się, że byliśmy w nocy w najszerszem miejscu bagniska i że do karczmy było parę kilometrów drogi. Nikt nas w karczmie nie mógł usłyszeć, gdyśmy w nocy trąbili, ani widzieć naszego ogniska. Karczmarz sądził, że przeprawiliśmy się czółnem na drugą stronę Swicy i najętymi końmi wróciliśmy do miasta. Kiedy usłyszał od nas, jak spędziliśmy noc na bagnie, dziwił się bardzo, że uszliśmy nieczystej sile, która, jak nam mówił, już wielu ludzi zaciągnęła na topieliska i tam uwięziła na wieki. Żaden mieszkaniec tych okolic, za skarby świata, nie odważyłby się spędzić nocy tam, gdzie djabeł obrał sobie siedzibę, strzegąc ukrytych skarbów.

Posiliwszy się w karczmie gorącem mlekiem na śniadanie, wyjechaliśmy z karczmarzem do miasta

Rekord ustanowiony przez nas na tem polowaniu, nigdy już potem pobić się nie dał. W czasach obecnych trudno uwierzyć, aby w jednym dniu można było ubić taką ilość tych długodziobów.

LEON STARKIEWICZ.



O SZKODACH WYRZĄDZONYCH PRZEZ JELENIE OGRYZANIEM KORY DRZEW.

Zwierzostan jeleni, niepielęgnowany i dziesiątkowany przez czas trwania ostatniej wojny światowej, dzięki racjonalej hodowli, coraz jest lepszy.

Ze zwiększaniem się zwierzostanu pomnożyły się również i skargi na szkody wyrządzane przez jelenie w uprawach polnych oraz w lesie.

Dociekanie, do jakiego stopnia uszkodzenie lasu przez zwierzynę jest znośne i dopuszczalne bez znacznego ubytku w technicznej wartości drewna, prowadziłoby zadaleko.

Patrząc na szkody tylko z punktu widzenia leśnika opierającego się na zasadzie największej i skrajnej użyteczości lasu, wydawaćby się mogły zbyt wielkiemi. I tak też jest niestety, w rzeczywistości.

Skoro jednak bierze się jako równoważnik wyrządzanych szkód, wartości idealne i gospodarcze łowiectwa, szkody znacznie maleją.

Dla drzewostanów najgroźniejszą ze wszystkich szkód, wyrządzanych przez zwierzynę rochmanną, jest okorowywanie drzew przez jelenie.

Znamienny lecz bardzo łatwo wytłomaczony jest fakt, że 100 do 150 lat temu podobne szkody w lasach wogóle nie istniały.

Wówczas wszystkie lasy znajdowały się w stanie pierwotnym i dawały zwierzynie o każdej porze roku dostateczną ilość potrzebnego pokarmu.

Z wprowadzeniem racjonalnej gospodarki leśnej, szczególnie przez stosowanie zrębów czystych, odebrano zwierzynie w wielkiej mierze naturalne warunki bytu.

Jednak dziś nie wszędzie jelenie korują drzewa i najmniej szkodzą w lasach będących w niższej kulturze, z czego wnioskować można, że zmiana w warunkach paszy wprowadzona przez cywilizację, po-

nosi najgłówniejszą winę w zjawianiu się szkód wyrządzanych okorowywaniem.

Jako przyczynę bezpośrednią korowania uważać można częściowo poszukwanie przez zwierzynę pewnych substancyj niemieszczących się w karmie przyjmowanej codziennie, względnie — i to zdaje mi się najprawdopodobniej — brak dostatecznej ilości odpowiedniej paszy.

Jelenie okorowują drzewa w porze wiosenno-letniej oraz w zimie.

Przy korowaniu w lecie obnaża się szczególnie u świerka większa część bielu, w następstwie czego zaczyna drzewo gnić . Po zdarciu kory następuje mniej lub więcej silny wypływ żywicy. Żywica spływa po pniu i ran nie zamyka.

U sosny natomiast żywica tworzy nieprzepuszczalną warstwę oddzielającą biel od wpływów atmosferycznych; powstaje tak zwane osmolenie.

Mniej szkodliwe jest korowanie w zimie, gdyż nie zostają naruszane rurki sitkowe. Zimą nie zdziera się tak łatwo kora, dlatego też o tej porze tylko wierzchnia jej część zostaje obgryzana.

Najgroźniejsze jest korowanie na wiosnę, t. j. w czasie, w którym krążenie soków jest najsilniejsze.

Najbardziej zagrożony jest świerk, potem dąb, jesion, buk, sosna, osika i brzoza. Korować zaczynają jelenie już młodniki w wysokości 1-go metra.

Świerk, od dołu gęsto ugałęziony, jelenie okorowują dopiero po oczyszczeniu się tegoż z gałęzi dolnych, ponieważ niechętnie wsuwają głowy w kłujący gąszcz gałęzi. Korują go natomiast aż do wieku drągowiny, t.j. do czasu, w którym kora jeszcze jest gładka. Drągowiny, które uważałoby się często za uratowane, po każdej przeprowadzonej trzebieży na nowo bywają zagrożone.

Drzewa zamykają rany przez przerastanie. Siła przerastania u świerka jest jednakże bardzo słaba. Przerastają zupełnie jedynie małe i wąskie ranki. Zanim większa rana zdoła się zupełnie zamknąć, poniżej i powyżej miejsca przerastania, drzewo zaczyna gnić. Nie do rzadkości należy zgnilizna o 4-ry i więcej metrów pod lub ponad miejscem przerastania.

Szkody powstałe przez korowanie, są przeto u świerka bardzo znaczne. Drewna takiego jako papierówkę, względnie kopalniaki, sprzedawać nie można, a jedynie użyć można jako opał.

Inaczej zupełnie przedstawia się przerastanie u sosny. Wąskie rany bardzo szybko się goją. Przy większych ranach przerastanie następuje również dość szybko, nie pozostawiając większego śladu.

U starszych sosen korowanych przez zwierzynę w wieku drągowiny, nie bardzo poznać można, że niegdyś przez okorowanie zostały uszkodzone. Miejsca drzew świeżo okorowanych szybko bywają oddzielone warstwą żywicy, co powstrzymuje gnicie drewna. Słabsze sortymenty sosny zatrzymują przeto nieomal że pełną swą wartość jako papierówka, kopalniaki i opał.

Największe szkody bywają w niespokojnych łowiskach, gdyż zwierzyna nie odważa się wychodzić w dzień z bezpiecznego gąszczu, w którym nic innego znaleźć nie może jak tylko korę.

Łania koruje tak samo silnie jak byk, chociaż niewykluczone są indywidualne różnice.

Nasuwa się pytanie, w jaki sposób leśnik może uchronić las od powyższych szkód, względnie zmniejszyć je do minimum.

Bezsprzecznie najskuteczniejszym środkiem ochronnym jest ogradzanie zagrożonych drzewostanów. Środek aczkolwiek skuteczny, jednak bardzo kosztowny i rzadko stosowany.

Dalszym środkiem jest smarowanie pojedynczych drzew smołą drzewną do wysokości 1.75 metra.

Koszta z powodu taniości smoły drzewnej nie są zbyt wielkie. Jeden robotnik w ciągu 1-go dnia może przeciętnie osmołować 1 ha. Smoła długo pozostaje na pniu drzewa i nie jest szkodliwa dla jego rozwoju.

Przez nacinanie kory, szczególnie u sosny, powoduje się wypływ żywicy, która zasychając na korze, tworzy chropowaty pancerz, który zwierzyna rzadko nagryza.

Najlepszym środkiem zapobiegawczym, a zarazem dającym zwierzynie tak potrzebną dla jej rozwoju sól, jest zakładanie, nie powszechnie znanych lizawek skrzynkowych, lecz lizawek palikowych. Lizawki te tworzą okorowane żerdzie sosnowe lub świerkowe o średnicy od 12—15 cm. i długości 1,80 do 2 m., na których wierzchu umieszczona jest skrzynka, zawierająca sól.

By zapobiec tworzeniu się rdzy, skrzynka nie powinna być przymocowana gwoździami żelaznymi, lecz klinami z drzewa. W tak umocowaną skrzyneczkę kładzie się kawały soli bydlęcej. Sól ta pod wpływem deszczu rozpuszcza się i spływa po paliku.

Lizawkę taką odwiedzają bardzo chętnie jelenie, daniele i sarny. Choć lizawki te nie w zupełności zapobiegają szkodom okorowania, to jednak w znacznym stopniu je zmniejszają. By lizawki nie chybiały celu, należy je zakładać w większej ilości.

Gdyby istniała jedna tylko lizawka, zajęłaby ją każdorazowo licówka chmary i nikomu prócz własnemu cielątkowi, nie pozwalałaby lizać. Jeżeli lizanie takie trwa zbyt długo, reszta jeleni chmary rozchodzi się, a wówczas cel lizawek jest chybiony.

Prócz zwierzyny płowej zauważyć można u lizawek również zające i króliki.

Niepożądanymi gośćmi są czasami dziki, które podkopują paliki i je wywracają. Uchronić można się od tego przez okładanie lizawek kamieniami. Również wybierać można drzewa cieńsze, które się na wysokości ok. 1,80 m. ścina (podobnie do znanych t. zw „bolszewickich pni" w lasach kresowych) poczem się je koruje; po wyschnięciu drzewa umieszcza się skrzynkę z solą. Lizawki takiej dziki wywracać nie mogą; przetrwały one według dokonanych doświadczeń, przeszło 30 lat.

Tyle co do środków ochronnych pojedynczych pni.

Przez celową hodowlę lasu zapobiec, a conajmniej obniżyć można szkody spowodowane okorowywaniem.

Zaleca się zasiewać łubin trwały, żarnowiec (Sarothamus scoparius) oraz ochraniać tu i tam, gdzie względy hodowlane na to pozwalają, gatunki drzew miękkich.

Zakładając kultury, należy dbać o to, by nie powstawały większe luki, gdyż zwierzyna chętnie koczuje na takich polankach wśród gąszczu, uszkadzając drewostan rosnący na około ich brzegów.

Więźbę należy w zależności od bonitacji gleby, stosować możliwie jaknajwiększą. U sosen wyrosłych w takiej więźbie kora prędzej staje się chropowatą, natomiast świerk wyrosły w takich warunkach, później się oczyszcza.

Okorowania drzew przybierają znaczne rozmiary w łowiskach przehodowanych, to znaczy w takich, w których zwierzostan nie jest proporcjonalny do powierzchni łowiska.

Prawidłowego stosunku ilości jeleni do powierzchni rewiru dokładnie określić nie można. Zależy to od znajdujących się w lesie gatunków drzew, jakości pokarmu, klimatu, od ilości znajdujących się wśród lasu, łąk, dalej od ilości drzew obradzających oraz od ilości i jakości dokarmiania zimowego.

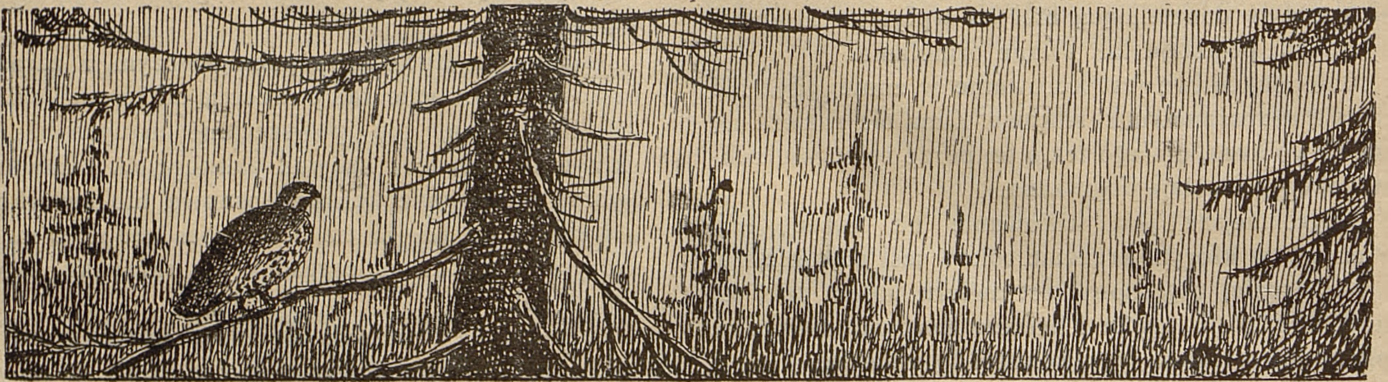
Jako średnią przyjąć można 4 jelenie na 100 ha.

Tam, gdzie znaczne są odchylenia od wyżej podanej średniej, należy dążyć do odmładzania zwierzostanu przez odstrzał starszych łań, oraz przez ochronę wszystkich młódek i cieląt.

Szczególnie ostatnie ochraniać należy dla regulowania prawidłowego stosunku płci.

Uważam, że odstrzał licówek w listopadzie i grudniu nie odbijałby się ujemnie na cielętach pozostałych przy chmarze.

INŻ. LEON OSSOWSKI.



Z ZAMOYSZCZYZNY.

(Zob. Nr. 42).

II.

„Klejnot przynosił martwą zwierzynę i machał ogonem.

Pan Seweryn rozchylał zakrwawione pierze.

— Nie wiem, czy twoja, czy moja?

— Nie pozna tatuś, jednakowy kaliber.

— Muszę sobie kupić inną strzelbę.

— Poco?

— Bo nigdy nie wiadomo, czy zwierzyna twoja, czy moja.

— Wszystko jedno — nasza".

Wiedzę tajemną odgadywania kalibru broni z zabitej „zwierzyny" posiada w naszym kraju i — zdaje się — z prawem eksploatacji na zagranicę, tylko szanowna autorka książki p. t. „Bonar piękny i Bonar garbaty". Nikt więcej. Uważam, że równie trudno byłoby wydedukować z wyglądu upieczonego koguta, jego barwy doczesne i temperament.

Ma się ochotę powiedzieć z należnym szacunkiem:

— Przestrzegam panią przed licznemi i bezwartościowemi uświadomieniami, dokonywanemi przez niefachowców — i skierować ją na tygodniowe wyćwiczenie do rąk naszych delegatów.

Co to za myśliwi... co to za myśliwi! Któżby ich wyprzedził, gdyby i oni zaczęli hołdować zasadzie, że polowanie jest prostym wyścigiem co do ilości zabitych zajęcy lub kuropatw? Czyż nie wiedzą oni o każdym zającu, który jeszcze żywy kołacze się w śmiertelnym strachu po naszym powiecie? Możliwe, że wiedzą wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów nawet o każdym zjedzonym najprywatniej zajączku. Te ich wszystkowiedzące uśmiechy, ta ich ojcowska niemal wyrozumiałość i słodycz w obejściu! Obaj noszą imię Władysław. P. Władysław I z charakteru swego urzędu przebywa przeważnie w mieście, p. Władysław II zaś jeździ ciągle po powiecie. W niedziele i święta dzielą się spostrzeżeniami i wyjeżdżają obaj na polowania.

Nieraz spotykam p. Władysława I:

— Wie pan co — powiadam, — wczoraj za Zamczysku zabiłem dwie kury.

— Wiem, — aleś pan siedem razy strzelał. — I uśmiecha się.

— Co u djabła, — myślę, — byłem sam jak palec i nie spotkałem żywej duszy!

Albo pytam p. Władysława II:

— Nie wie inżynier, czy warto zapolować w Stabrowie?

— Pi! ja panu radzę, jak pan uważa. Droga pod psem — szczególniej pewne dwa kilometry od szosy do Jarosławca. A w Stabrowie znajdzie pan jeszcze ze dwa koty i to wielokrotnie strzelane. W domowych pantoflach tobyś je pan zeszedł na strzał.

Jadę. Jeden kot drapnął z horyzontu, gdym wysiadł w polu z wózka i właśnie składałem broń, a drugi poszedł w łąki — według opowieści pastuszków — usłyszawszy mój strzał do jastrzębia. I na tem koniec.

Ten to p. Władysław II, którego zabiegom nasze T-wo R. P. zawdzięcza lwią część swych terenów

i który, jako łowczy, prowadzi wszystkie związkowe polowania, — raz napotkał był na jednym z dzierżawionych przez nas obszarów, znanego w całej okolicy kłusownika z dwoma pieskami. Zaczęła się gonitwa, w trakcie której oba pieski zostały zastrzelone, kłusownik zrzucił kurtkę i kamizelkę i wprawdzie uszedł do wsi, ale natychmiast w najwyższym upadku ducha położył się do łóżka i po trzech tygodniach umarł ze strachu i zmęczenia.

Mamy jeszcze kilku debiutantów — ze smutkiem należy wyznać — rekrutowanych z grona nauczycielstwa ludowego. Ci grasują dotychczas bezkarnie, kokietując T. R. P. wnoszonemi od czasu do czasu podaniami o przyjęcie na członków.

A wnykarze? Jest ich pełno — z dziada i pradziada. W zimie nasze zagajniki są poprostu odrutowane i na wnyki łapią się już tylko co głupsze psy włościańskie.

Niedawno p. Władysław II opowiedział mi wydarzenie, jakie miał p. Ignacy Dorfsgajer na polowaniu zeszłej zimy.

Postawiony na stanowisku p. Ignacy rozejrzał się, jak powiada, „naokoło" i ze zdumieniem graniczącem niemal z przestrachem, zauważył z tyłu, zająca przyczajonego chytrze pod krzakiem. Odwrócił się do natręta, wycelował, zamknął oczy i palnął. Gdy się otrząsnął z wysoce niemiłego wrażenia, jakie zawsze sprawiał na nim huk, zobaczył zająca w tej samej pozycji.

— Ani „drygnął" — pomyślał i napęczniał jak kiszka samochodowa.

Po skończonym miocie p. Ignacy poczekał, aż ten i ów z zaciekawionych sąsiadów zbliżył się doń i mówi do naganiacza:

— Mały! Idźno przynieś tego zająca, co mu zaszczeliłem.

Chłopak pobiegł i po chwili krzyczy:

— Kiedy coś go trzyma!

— Głupiś... dawaj go tu! Co jest?

— Aj! On na drut się złapał — już mu bok het [1]) oblazł!

Ponieważ był to jedyny zając na rozkładzie, więc w taki sposób pan Ignacy został królem polowania.— I tak bywa.

— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Sklep T. R. P. posiada charakter nieco wędrowny jak np. kaczka krzyżówka. Wśród podróży, jak wiadomo, łatwo się chudnie i łatwo można coś zgubić. Ale podróże mają i to do siebie, że hartują, — więc i sklep nasz nietylko istnieje na twardo, ale rozrasta się coraz bardziej, tworząc coś w rodzaju żywopłotu, z poza którego nie widać poprostu tego muzeum aspiracyj ludzkich, jakiem się stało z biegiem czasu samo T. R. P.

W tej chwili sklepik mieści się kątem w składzie towarów kolonjalnych, win i delikatesów, czyli że myśliwy, wybierając się na łowy, może się tu zaopatrzyć w zagraniczne witaminy, środki ogrzewające i wybuchowe.

Srogą amunicję sprzedaje miły i łagodny jak truskawka, staruszek. Tacy ludzie powinni sprzedawać np. kefir albo wodę Franciszka Józefa, ale cóż— życie lubi kontrasty. Staruszek jest poczwórnie powolny: z natury, wieku, upodobania i doświadczenia.

Człowiek znający istotną wartość wszechrzeczy, nie może się śpieszyć nigdy, a zresztą czyż nie jest dlań satysfakcją zlekceważyć sobie wszechmocny czas i pobawić się z nim w chowanego

Nadto, kto pragnie w Zamoyszczyźnie wykonywać praktyki myśliwskie, ten nie może być nader goracy, bo na znalezienie zajaca trzeba conajmniej doby, a na kuropatwę dwie lub trzy.

W każdym razie dzięki systemowi staruszka (polowania na czas klijenta - myśliwego) jeszcze mamy w powiecie nieco zwierzyny. Na kupno kilograma śrutu trzeba godziny, zaś na sto tekturek... trzech

Staruszek waży, liczy. myli się, zawija, rozwija, gubi, szuka, rozsypuje, zbiera i gawędzi.

Każdy artykuł ma swoją specjalną kopertę z utargowaną gotówką. Koperta taka jest zawinięta w kilka papierów jak mydełko pachnące i owiązana bardzo długim i cienkim sznurkiem. Wydawanie reszty przy zakupnie kilku artykułów odbywa się z tyluż kopert, co znakomicie komplikuje sprawę. Misterjum to przedłuża się też wskutek księgowania na gorąco wszelkich pozycyj. Tu już przydałby się jakiś wygodny mebel dla klijenta. ewentualnie najprymitywniejsze środki cucące: amonjak. eter lub krople Hofmana.

Tak, tak... w pocie czoła będziesz pożywał zająca twego...

Zamość.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

[1]) Całkiem, zupełnie.



Z POLESKICH JEZIOR.

Długo szumi natarczywie w uszach jednostajny terkot motoru. Przestrzeń snuje się nicią różnobarwną, aż wysnuwa się z oddali kobierzec zieleni, przetkany pasmami granatowych lasów i upstrzony kropkami stogów. To Polesie. Już jesteśmy niedaleko. Jeszcze kilka wybojów, jeszcze trochę podmokłego piasku i wyłania się przed nami długa na 7 klm. szyba wody.

Jesteśmy na miejscu.

Krótki, nerwowy sen i donośne stukanie w okiennice przerywa marzenia o przyszłych tryumfach. Wychodzimy. Chłodny, przejmujący wiatr marszczy jezioro w tysiące drobniutkich fal. Na wschodzie czerwona łuna oświetla niebo. W sam czas opuściliśmy wygodne łóżka! Krótka narada z gospodarzem i od przystani wybiega sześć łódek, kierując się w rozmaite strony. Ostatnie spojrzenie na dubeltówkę, ostatnie ziewnięcie! Za chwilę skupiona uwaga i napięte nerwy będą towarzyszyły bez przerwy, aż do ostatniego strzału.

Roje mewek unoszą się w powietrzu, przeraźliwie krzycząc; stada kulików brodzą poważnie po płytkiej, przybrzeżnej wodzie. Marny ptak. Tu królestwo krzyżówek, cyranek, małych „czernic", bataljonów, nurów, nurków i czapli. Raj na ziemi!

„Bude pohoda, panyciu" stwierdza z zadowoleniem „powoźnik", nieustannie i szybko wiosłując Sam niegdyś chodził na „ochotę", ale za kłusownictwo odebrali mu broń. Dużo zależy od niego. W czasie strzału łódź i on drgnąć nie może, bo pudło pewne. Bystrym wzrokiem nie raz pierwszy zauważy zrywającą się kaczkę i krzykiem pełnym emocji odwiecznej gry, zwraca uwagę „kulturalnego" łowcy.

A potem znalezienie zabitej kaczki, w dużej mierze zależy od jego spostrzegawczości i sprytu. Szuwary są gęste i źle strzelona zwierzyna prawie zawsze ginie.

Słońce podnosi się coraz wyżej, ale chłód nie ustępuje. Drżąc z zimna a może i trochę ze zdenerwowania, wkładam ładunki do luf. Zbliżamy się cicho do szuwaru okalającego brzegi małej wysepki. Wstaję z siedzenia. Gdzieś z oddali niesie się tysiącznem echem odgłos pierwszego wystrzału. Wsuwamy się w szeleszczący szuwar i trzciny. W tej samej chwili o jakieś czterdzieści kroków zrywa się kaczor, za nim kaczka. Krzyżówki! Ba-bach z dwóch luf i z głośnym pluskiem padają na wodę.

Drżączka minęła. Pierwsza zdobycz, pierwszy dublet. Łatwy wprawdzie, ale zawsze dublet. Dobry początek. Podnosimy duże, tłuste kaczki i za radą „powoźnika" wychodzę na brzeg wysepki. Wypłoszyłem stamtąd i zabiłem jeszcze dwie cyranki, poczem skierowaliśmy się ku brzegowi jeziora. Zrzuciłem sweter. Zaczynało się robić gorąco. Na przeczystem niebie widać było od czasu do czasu przelatujące stada cyranek lub krzyżówek. W oddali krążyła poważnie piękna czapla, zbyt czujna niestety, by dała się podjechać blisko. Oddycham całą piersią. Zachwycony wzrok błądzi po ogromnej przestrzeni wód. Gdzieś na horyzoncie prawie majaczą dachy i drzewa dworu. Spotykamy, jadąc, rybaków, którzy zarzucają sieci. Podobno mają doskonały połów w tym roku. Mijamy ich prędko i znowu wjeżdżamy w przybrzeżne trzciny i sitowia. Z głośnym łopotem skrzydeł zerwało się daleko stado cyranek. Strzeliłem i po długich poszukiwaniach w przybrzeżnej zatoczce znaleźliśmy postrzeloną kaczkę. Bobrując tu i owdzie, jeździliśmy prawie dwie godziny i siedem cyranek przybyło na łódce. Robiło się coraz goręcej. Kroplisty pot lał się nietylko z „powoźnika", ale i ze mnie. Strzały mych towarzyszy ucichły, więc zadecydowałem powrót. Byłem ostatni. Po śniadaniu drzemka, po drzemce obiad, krótki odpoczynek i jazda znowu na wodę! Tym razem pojechałem na ujście Jasiołdy. Jezioro tu głębsze i brudne, czarne wody niosą się szerokiem pasmem. Niestety, kaczek tu nie było, więc kazałem zawrócić znowu w szuwary otaczające na ogromnej przestrzeni, brzegi. Słońce chyli się ku zachodowi. W dali widać łódki pełne kobiet śpiewających długie i zajękliwe dumki. Głos ich ciągnie się po wodzie daleko daleko, hen gdzieś na łąki zasiane setkami stogów. Jakiś poleszuk popycha leniwie dużą łódź, na której stoi koń i widać pług. Co kraj, to obyczaj! W promieniach zachodzącego słońca lecą niezliczone stada kaczek. Zapada cisza kojąca nerwy balsamem przeróżnych odcieni. Delikatny plusk wiosła przerywa ją od czasu do czasu. Nagle dzwonek alarmowy! Nerwy zwijają się w czułe kłębki; poderwana automatycznie fuzja leci do ramienia: z trzaskiem i szumem wyrywa się z trzcin ogromny kaczor. Strzał — pudło, strzał — pudło! Poleciał. A niechże cię licho — zakląłem — rozmarzyłem się i mam teraz skutki tego! Daleko widać go jeszcze, jak leci i spada powoli na gołą taflę wody! Djabeł sam go nie podjedzie teraz! Trudno. Ściemnia się. Słońca już nie widać, zapadło się w czeluść wszechświata. Jedziemy powoli, zbliżając się do końca szuwaru. Z chrzęstem łamanych i giętych trzcin podnosi się znowu krzyżówka prosto na jasne jeszcze niebo. Daleko! Strzał — pudło — drugi i z głośnym trzaskiem pękło lustro wody, łamiąc się w tysiące fal. Jest.

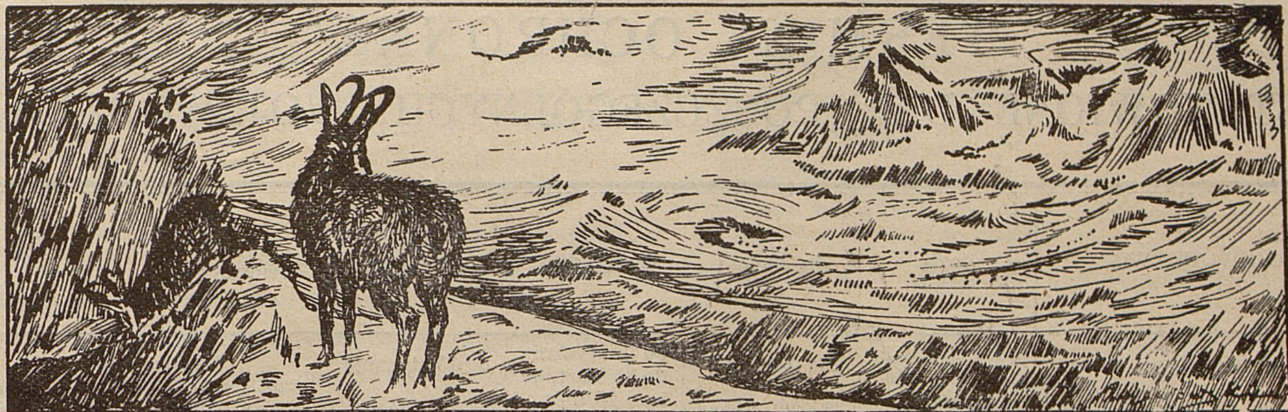
Łódź sunie leniwie do domu. Zapalamy z „powoźnikiem" papierosy. Już koniec na dziś. A potem? Potem noc. Księżyc świeci na niebie i ziemi. Snują się blado zielone światła po grzbietach malutkich fal. Piasek przybrzeżny srebrzy się blaskiem tysiecy drobnych muszelek. Leciutki zefirek delikatnie chłodzi znużoną twarz.

Śni się snem posrebrzanym marzenie. Dlaczego na księżycowej drodze jeziornej nie widać królewny z bajki z bajecznym orszakiem strojnych w brylanty dworzan? Dlaczego jeszcze jej nie widać? Zeszłaby bajka marzenia do bajki w rzeczywistości.

Długo to pytanie snuje się w myśli, nawet wtedy, gdy w monotonnym stukocie samochodu liczę chwile, które minęły tak niedawno od polowania na jeziorze — z bajki!

ZDZISŁAW JANOTA-BZOWSKI.

Cholowicze.



KILKA SŁÓW O ŁOWACH W AUSTRJI.

Od najdawniejszych czasów, kraje znane dziś pod nazwą Austrji, słynęły ze swych znakomitych polowań. Za panowania Rzymian, cała dolina Dunaju była jednym olbrzymim lasem, w którym dziki, niedźwiedzie, wilki i żubry wędrowały licznemi stadami. Na prawy brzeg rzeki wyjeżdżały na łowy rzymskie legjony — na lewym polowały germańskie hordy, aby się zaopatrzeć w odzież i zwierzynę.

Po przez wszystkie stulecia średniowiecza, przesuwają się na kartkach historji liczne postacie królów i bohaterów — nierzadko i królowych — z łukiem lub oszczepem w ręku. Za czasów Maksymiljana I „ostatniego z rycerzy" w 15-ym wieku, zamiłowanie do łowów dosięgło zenitu. Książę był nietylko sam słynnym myśliwym, lecz lubił zapraszać cudzoziemskich książąt i panów, aby mu towarzyszyli w łowieckich wyprawach. Dwie zajmujące książki „Weisskunig" i „Thenerdank" podają nam ciekawe opisy życia i zwyczajów ówczesnej epoki. Jeden z gości Maksymiljana, książę Eberhard von Würtemberg w liście do swego mentora i przyjaciela pisze: „Venatio Austriaca pulcherrima mundi". Ciekawe, że w 400 lat później na międzynarodowym kongresie łowieckim w Wiedniu, w 1910 r. anglik Selous użył zupełnie tych samych słów, mówiąc: „Łowy w Austrji są najlepsze na świecie". Dziś warunki zmieniły się bardzo, wszędzie, a szczególnie w Austrji. Lata wojny i rewolucji zrobiły wielkie spustoszenia między jeleniami i kozicami —głodni ludzie nie dbają o ustawy łowieckie — ale rząd dzisiejszy opiekuje się zwierzyną, tępi kłusowników i nakłada surowe kary za polowanie w czasie ochronnym.

Zwierzyną par excellence austrjacką jest kozica i ona to przedstawia największą atrakcję dla zagranicznych sportsmenów. Są naturalnie kozice i w innych krajach: Francji, Hiszpanji, Włoszech, Szwajcarji, Czechosłowacji i Polsce, ale zwykle ustępują austrjackim pod względem wielkości i piękności rogów. Przytem ostatniemi laty trzymają się najczęściej w górach niedostępnych, tak, że polowanie staje się nietylko ryzykownem, ale wprost niebezpiecznem. Austrjaccy przewodnicy są też często dobrymi myśliwymi i miłymi towarzyszami. Jednym z najlepszych terenów łowieckich na kozice są góry Ennstal w Styrji, gdzie w 1918 r. naliczono 2.000 sztuk, a w Dolnej Austrji, Semmering, Rax, Schneeberg i Otchengebiet tylko 400 — 600. W Górnej Austrji dużo jest kozic w Höllen—Gebirge i Todtes Gebirge, ale chyba najwięcej w górach Salzburskich, gdzie podobno znajduje się ich więcej niż 3.000 sztuk. Przychodzą czasami aż nad brzeg jeziora i turyści spotykają je często w czasie wycieczek latem. Tyrol i Voralberg mają ich też sporo.

Polowanie na kozice jest nawet w najlepszych warunkach dość męczące. Trzeba mieć zdrowe serce i mocne nogi, aby się uganiać za niemi po górach, ale też przyjemność dla myśliwego jest tak wielka, że nawet w późnej starości trudno się jej wyrzec. Cesarz Franciszek Józef był zapalonym wielbicielem tych łowów i nawet gdy mu siedemdziesiątka minęła, chętnie polował w swych ukochanych Alpach.

Te same góry, których wierzchołki i nagie skały dają schronienie kozicom, zamieszkane w lasach położonych poniżej, przez jelenie, bardzo cenione i nawet sprowadzane do Szkocji i Irlandji dla ulepszenia miejscowej rasy. Wojna zrobiła też wśród nich wielkie spustoszenia, ale teraz rozmnożyły się znowu w lasach rządowych. Trudno jednak się spodziewać, aby dawne czasy wróciły w zupełności, bo przed wojną dwór cesarski asygnował ogromne sumy na dokarmianie jeleni i trzymał całą armję leśniczych i strzelców pilnujących zwierzyny.

Sarn jest dużo, tak w górach jak w nizinach, ale dziki stają się coraz rzadszymi. Spotkać je można czasami w Styrji, Dolnej Austrji i na pograniczu Węgier.

Widuje się też wszędzie dużo lisów i sporo borsuków, ale te ostatnie są teraz ochraniane ustawą przez cały rok. Zajęcy mnóstwo. Setki tysięcy pada rocznie w sezonie zimowym. Zając alpejski jest rzadkością, a dzikie króliki są zupełnie nieznane.

Z ptaków najbardziej ceniony jest oczywiście głuszec, ale też najrzadszy. Można go spotkać w górach, ale w bardzo małych ilościach. Cietrzewi jest dużo więcej, kuropatw zaś z wyjątkiem Dolnej Austrji, spotyka się względnie mało. Trochę dzikich bażantów, na wiosnę mnóstwo słonek i wodnego ptactwa, oto mniej więcej cały obraz dzisiejszego stanu zwierzyny w Austrji. Sporo myśliwych zjeżdża z Anglji i innych krajów, szczególnie na polowanie na kozice i kapitan Heinrich Gatterer, Grillparzerstrasse 7, Wiedeń I, udziela życzącym wszelkich informacyj dotyczących polowań w Austrji, Węgrzech i Czechosłowacji.

M. Z.

TERMINY OCHRONNE
USTANOWIONE DLA POSZCZEGÓLNYCH WOJEWÓDZTW.

WOJEWÓDZTWO	kozły	dz. kaczki	kuropatwy	zające	inna zwierzyna	
Pomorskie rozp z dn. 29 grudnia 1930	od 1 stycz ia do 31 maja i od 1 paźdz. do 31 grudnia	od 1 marca do 20 lipca	od 1 stycznia do 31 sierpnia i od 15 listop. do 31 grudnia	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Dzikie łabędzie: od 1 stycznia do 31 sierpnia i od 1 listop. do 31 grudnia	
Poznańskie rozp. z dn. 17 grudnia 1930	do 31 maja i od 1 paźdz.	—	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Bażanty-koguty od 1 lutego do 30 września	
Krakowskie rozp. z dn. 19 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 listop.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Lwowskie rozp. z dn 12 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 listop.	—	do 15 września*) i od 1 listopada	od 1 lutego do 31 paźdz.	Jelenie-byki od 1 stycz. do 31 sierp. Bażanty-koguty cały rok. Dzikie gęsi: od 1 stycznia do 31 lipca	
Stanisławowskie rozp. z dn. 16 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 16 stycznia do 31 paźdz.		
Tarnopolskie rozp. z dn. 3 grudnia 1930	od 1 stycznia do 15 czerwca i od 1 listop. do 31 grudnia	od 15 marca do 1 sierpnia	do 15 września i od 1 listop.	od 1 lutego do 31 paźdz.		
Warszawskie rozp. z dn. 29 listop. 1930	do 15 maja i od 1 listop.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Lubelskie rozp. z dn. 3 grudnia 1930	do 15 maja od 31 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Łódzkie rozp. z dn. 20 grudnia 1930	do 15 maja i od 1 listop.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Bażanty-koguty: od 1 lutego do 31 sierpnia i od 10 listop. do 31 grudnia	
Kieleckie rozp. z dn. 21 listop. 1930 r.	—	od 1 marca do 20 lipca	—	od 1 lutego do 31 paźdz.		
Białostockie rozp. z dn. 5 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Wileńskie rozp. z dn. 9 grudnia 1930	—	od 1 marca do 20 lipca	—	—	Bielaki od 1 lutego do 31 paźdz.	Dzikie kaczory i inne ptactwo wodne i błotne oprócz dz. łabędzi, dz. gęsi, słonek i bataljonów od 1 czerwca do 20 lipca.
Nowogródzkie rozp. z dn. 9 stycznia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	cały rok	od 1 lutego do 31 paźdz.	Bielaki od 1 lutego do 31 paźdz.	Łosie byki, dropie strepety i wiewiórki przez cały rok
Wołyńskie z dn. 6 grudnia 1929 i 2 stycznia 1930	—	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 1 lutego do 30 paźdz		
Poleskie rozp. z dn. 22 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Bataljony i dzikie kaczory od 15 maja do 20 lipca. Lisy od 1 marca do 15 listopada. Łosie byki i wiewiórki przez cały rok. Dropie i strepety — cały rok. Niedźwiedzie od 15 stycznia do 15 grudnia. Rysie od 15 lutego do 15 grudnia. Kuny leśne i norki od 1 paźdz. do 30 kwietn	

UWAGI: Pola z kreskami oznaczają normalny czas ochrony pg. ustawy.

*) Odnosi się tylko do pow. bóbreckiego, brzozowskiego, dobromilskiego, drohobyckiego, gródeckiego, jaworowskiego, krośnieńskiego, liskiego, lwowskiego, przemyskiego, rawskiego, rudeckiego, samborskiego, starosamborskiego, sanockiego, sokalskiego, strzyżowskiego i żółkiewskiego.

SKUTKI ZIMNEGO WRZEŚNIA.

Z kraju naszego nie mamy jeszcze wiadomości o skutkach wyjątkowego zimna wrześniowego śród zwierzostanu. Natomiast niemieccy myśliwi żywo się zajmują tą sprawą.

Jeden z nich pisze:

Nadzwyczaj niepomyślne, prawie zimowe warunki atmosferyczne, które panowały szczególnie w drugiej połowie września, spowodowały nader niekorzystne objawy w dziedzinie łowiectwa. Najwięcej ucierpiały rewiry górskie, gdzie miejscami opady śnieżne były tak obfite, że warstwa leżącego śniegu sięgała wysokości 60 — 70 centymetrów. Jelenie i sarny z tych okolic zmuszone były wywędrować do miejscowości niżej położonych, przyczem niejedne przypłaciły to życiem.

Rykowisko w dolinach, gdzie jeszcze panowała względnie lepsza pogoda, odbywało się prawidłowo. Natomiast tam, gdzie powiało zimnem listopadowem, rykowisko miało osłabiony przebieg. Pozostała tylko nadzieja na październik i jego ładną pogodę trwalszą, która poprawi warunki rykowiska i jeleni, aczkolwiek spóźnionego.

W końcu września zauważono już w niektórych rewirach nizinnych szarzejące sarny, gdy w rewirach górskich była sposobność obserwowania czerwowych. To też w wielu większych dobrach nie zdążo-

Polowanie na kuropatwy nie mogło się odbyć w należytym porządku podczas niepogód wrześniowych. To też w wielu większych dobrach nie zdążono odstrzelić wyznaczonego zgóry etatu kuropatwianego.

W związku z tem piszą zarazem w niemieckiej prasie myśliwskiej, że w Niemczech wogóle tego roku mniej się strzela kuropatw. Przyczyną tego ma być powszechny kryzys ekonomiczny, który nie pozwala myśliwym, jak dawniej, wydatkować większych sum na wyjazdy, naboje i inne wydatki.

ODEZWA W SPRAWIE ODMIAN GEOGRAFICZNYCH POLSKICH KUROPATW.

Przed dwoma laty rosyjski ornitolog Stanczyński, przejrzawszy zbiory Muzeum Zoologicznego Akademji Nauk w Leningradzie, podał krótką notatkę o zmienności geograficznej kuropatw (W. W. Stantschinsky — Zur geographischen Variabilität des Rebhuns, „Ornitohologische Monatsberichte", 37 Jahrg., 1922, N. 5). Stanczyński, między innemi zwrócił uwagę na to, że w Polsce występują dwie odmiany kuropatw, z których jedna występuje po lewej, druga po prawej stronie Wisły.

Niewątpliwie i polscy myśliwi, polujący w różnych okolicach Polski, musieli zwrócić uwagę na to, że kuropatwy poszczególnych okolic naszego kraju różnią się między sobą. Fakt ten z punktu widzenia naukowego jest bardzo ciekawy i zasługuje na bliższe zbadanie. Chcąc wyświetlić geograficzne rozmieszczenie poszczególnych ras kuropatw w Polsce, przejrzałem zbiory Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie. Niestety, w zbiorach tych znajduje się zaledwie kilka sztuk kuropatw z Polski.

Różnice między formami geograficznemi kuropatwy są bardzo małe. Stają się one widocznemi dopiero po porównaniu seryj (złożonych conajmniej z kilku sztuk), pochodzących z różnych okolic. Otóż zgromadzenie takich seryj w Państwowem Muzeum Zoologicznem w celu ich naukowego opracowania, jest rzeczą konieczną.

Wobec tego zwracam się do wszystkich polskich myśliwych, szczególniej do tych, którzy nie są obojętni na sprawy naukowe, z prośbą o nadesłanie potrzebnych w tym celu materjałów. Niech każdy myśliwy, któremu leży na sercu dobro nauki, nadeśle kilka sztuk kuropatw (chociażby dwie sztuki, chociażby jedną) do Muzeum, w ten sposób z łatwością zbierze się potrzebne materjały. Pożądane są przedewszystkiem starki. Specjalnie potrzebny jest materjał z Wileńszczyzny, Pomorza, Kujaw, Śląska, zachodniej i wschodniej Małopolski oraz wogóle z kresów wschodnich.

Obecnie kuropatwy nadane na pocztę w dniu zabicia, a nawet nazajutrz, dojdą do Muzeum w stanie niezepsutym, tak, że będą mogły być spreparowane. Do przesyłki należy dołączyć kartkę, na której czytelnie winny być wypisane: imię i nazwisko, oraz dokładny adres pocztowy ofiarodawcy, miejsce zabicia (z zaznaczeniem gminy i powiatu) i data zabicia.

Nadesłane ptaki wejdą do zbiorów Muzeum, a ofiarodawcy otrzymają naturalnie specjalne podziękowania.

Kuropatwy należy wysyłać pod następującym adresem: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26-28, Państwowe Muzeum Zoologiczne.

Przy sposobności dodam, że wszelkie ptaki nawet najpospolitsze są przez Muzeum z największą wdzięcznością do zbiorów przyjmowane.

JANUSZ DOMANIEWSKI.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— **Wypadek na polowaniu.** — Podczas polowania urządzonego przez dwór królewski w Rumunji, dnia 14 października r. b. pod Bukaresztem postrzeleni zostali śrutem wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią jednego z uczestników polowania, — pp. generał Balbo, rumuński minister lotnictwa, oraz poseł niemiecki w Bukareszcie, p. Schulenburg.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Aukcje futrzane.** — W Lipsku zamknięto już jesienne aukcje futrzane Sowietów. W ich przebiegu kryzys gospodarczy dał się odczuć bardzo wyraźnie. Uwydatniło się to zarówno w znacznie mniejszej niż zazwyczaj, liczbie kupujących, jak i niemniej w zredukowanych w porównaniu z wiosennemi aukcjami obrotach. Na pierwsze miejsce wśród odbiorców wysunęły się Stany Zjednoczone, które zakupiły bardzo znaczne ilości futer wyższych gatunków. Również i Niemcy zakontraktowały większe partje. Tendencje cen przez cały czas trwania aukcyj były niejednolite.

— **Skóry kangurów.** — W Ameryce wprowadzono w obieg handlowy skóry kangura jako nowość przemysłu obuwianego. Moda skórzana, jako najnowsze zdobycze posiada rękawiczki ze skóry jelit wieloryba i buciki ze skór rybich. Ostatni krzyk mody dla panów w odzieniu nóg to buciki kangurowe. Z Australji sprowadza się obecnie na rynek amerykański surowe skóry kangurowe, które niezwłocznie się garbuje ze względu na żywy i wzmagający się popyt. Dostawcy tych skór zaskoczeni zostali pomyślną konjunkturą wśród bezprzykładnego kryzysu i zastoju na inne gatunki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5- pop. W redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**



**Głowa boli —
a ja nie mam oryginalnej Aspiriny...
Piekło na ziemi.**

Przeciwko bólom głowy, zębów i kończyn, przeciwko reumatyzmowi, grypie i wogóle wszelkim zaziębieniom zawsze najlepiej pomagają niezawodne tabletki Aspirin. Na każdej tabletce i na każdem opakowaniu (po 20 lub 6 tabletek) znajduje się krzyżowy napis BAYER, który stanowi markę ochronną oryginalnej Aspiriny. Do nabycia we wszystkich aptekach.



„Gdy lecą liście z drzew..."

wówczas bardziej niż kiedykolwiek należy pamiętać o tem, aby zażywać od czasu do czasu pastylki Panflavin, które uchronią nas przed grypą i wogóle przed wszystkiemi chorobami z zaziębienia. Zwłaszcza przebywanie w jednem pomieszczeniu z innemi osobami zwiększa niebezpieczeństwo zarażenia się i wymaga wobec tego ochrony zapomocą smacznych pastylek Panflavin. Z tego względu również i rodzice powinni stale dawać swym dzieciom pastylki Panflavin, które nabywać można we wszystkich aptekach.

OGŁOSZENIA DROBNE

Zając a żołnierz.

Kompanja idzie na strzelnicę, a przed nią na polu wyrywa zając. Jeden z żołnierzy wzdycha:

— Ach tak, taki zając to ma dobre życie; ma swobodę i robi, co chce, a my...

Na to plutonowy:

— Wy, cwaniaku jeden, nie zapominajcie jednak, że zając źre trawę, a was karmi prowiantura.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.